Rok 1898. Lwów, dnia 10. października. Nr. 40.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

G. VERGA.

TYGRYSICA

Powieść.

(Przekład z włoskiego).

Ciąg dalszy.

Naturalnie, że odgadłem wszystko — odrazu. Zaprowadziłem go do ogrodu. Wieczór był łagodny, ale o tej godzinie nie było już nikogo w ogrodzie, ktoby nam mógł przeszkodzić.

— Przedewszystkiem, nie wygłaszaj mi żadnych morałów — zaczął przytłumionym głosem, podczas gdy w ciemności szukaliśmy ławki — to nic nie pomoże, sam wiesz dobrze.

— Czyż czyniłem to kiedykolwiek, kochany Giorgio? Jakże, u djabła, wpadłeś na tę myśl?

— Przyszła mi... ponieważ chciałem uniknąć spotkania się z tobą i zawstydziłem się, gdy to właśnie nastąpiło niespodzianie.

Kilka oświetlonych okien przerywało tu i ówdzie ciemną fasadę hotelu swymi jasnymi czworobokami, a Giorgio, stojąc przedemną, rzucił na nie pytające spojrzenie.

— Gdzie? — zapytał, jakby już o kimś była mowa. — Czynię źle, wiem o tem! Czy widziałeś, jak na mnie patrzyła biedna Erminja? Zdawało się, że czyta w mojem sercu... A mój Jaś? Kto wie? co się z nim teraz dzieje?... Mogą sobie mówić... ale gdyby mi kto teraz wpakował kulę w łeb, wyświadczyłby mi ogromne dobrodziejstwo... Słyszę jednak głos, który jest silniejszy odemnie... biedaczka umiera... wiesz... Stoi mi nieustannie przed oczyma i gdybym był nie mógł dzisiaj przyjść tutaj, zdaje mi się, że oszalałbym!

Podczas gdy mówił to w urywanych zdaniach, chodził po ścieżce ogrodowej tam i z powrotem, zrywał liście z krzaków i gryzł je jakby w wściekłości. Nagle spostrzegłem, że zakrył twarz rękami i wybuchnął łkaniem, nie mogąc wymówić ani jednego słowa.

Nieszczęśliwy, który padał pod ciężarem cierpień moralnych, budził we mnie serdeczną litość. Giorgio, zwykle taki wesoły i bez troski, wił się, aby ukryć przedemną łzy i słabość swoją, a gdy się starałem ująć go za rękę, odepchnął mnie łagodnie i płakał dalej.

— Gdybyś wiedział, jak drogo opłacam te fatalne rozkosze — rzekł nareszcie tonem, który mi wniknął do głębi duszy — i ile się cierpi, aby być takim nędznym!

— Giorgio!

— Tak, wiem, że jestem nędznikiem! Oszukałem biedną Erminję, opuściłem mego syna w chwili, gdy moim obowiązkiem było pozostać przy jego boku Uciekłem z domu, zdeptałem honor... serce mi pękało, gdy ich opuszczałem, a jednak... poszedłem!

— Dlaczego poszedłeś?

— Dlaczego? — zapytał i spojrzał na mnie wzrokiem szaleńca — bo musiałem, bo mnie wołała!

— A co jej pomogą twe odwiedziny?

— Tego nie wiem... nic... ale musiałem usłuchać jej wezwania...

— Czy próbowałeś już kiedy myśleć przeciwnie, przekonać się, że nie powinieneś był przychodzić... dla ciebie, dla niej samej nie?

— Próbować? — zawołał — Na co próbować? Jeżeli to jest silniejszem odemnie, powiadam ci?... O tak, znam wszystkie wasze zasady, wasze prawa towarzystkie, wasze obowiązki!... Wiem, że jestem nędznikiem!... I oto stoję przed tobą, przeklęty!

Stał długo z twarzą ukrytą w dłoniach, aż nareszcie zbudził go z tego odrętwienia zegar bijący północ.

— Bądź zdrów — rzekł zdecydowany — muszę już iść... nie zatrzymuj mnie!

Rozdział XIII.

W korytarzu prowadzącym do pokojów Naty już prawie wszystkie światła pogasły; drzwi były tylko przymknięte

i gdy Giorgio otworzył je z pewnem wahaniem, znalazł pokój tylko słabo oświetlony...

Wyprostowana stała obok wielkiego fotelu, biało ubrana i nieruchoma, z twarzą zwróconą ku drzwiom. Szybko i jak cień przesunęła się ku niemu po dywanie, jeszcze bielsza jak jej suknia, z wyciągniętemi ramionami i pałającym wzrokiem i przycisnęła go jak wilczyca do piersi.

Ani jedno słowo nie przemknęło się przez jej usta. Trzymała go tak ciągle w uścisku, tylko od czasu do czasu ujmowała jego głowę i odchylała ją w tył, nie mówiąc ani słowa, topiąc swój gorący wzrok w jego oczach i przyciskając go znowu potem do piersi.

Lekki szelest dał się nagle słyszeć przy drzwiach. Skoczyła jak dzikie zwierzę.

— Idź — rzekła tonem, od którego Giorgio zadrżał.

— Kto to być może? — zapytał.

— Mój mąż, ale o to troszczyć się nie mamy potrzeby... masz zapewne przy sobie rewolwer... jeżeli jego fatum tutaj go przywiedzie, pal w niego, jak w świecę.

Nie troszcząc się o wrażenie, jakie wywarły jej słowa na nim, zaczęła mu się znowu przypatrywać nienasyconemi oczyma.

— Oczekiwałam ciebie — rzekła cicho.

Pocałował ją, usta jej jednak pozostały nieruchome.

— Ożeniłeś się? — zapytała nareszcie, ale nie dając mu czasu na odpowiedź, zarzuciła mu jakimś dzikim ruchem ramiona na szyję. — Chodź tu! Podaj mi twoje czoło... twoje usta! Chodź tu!

Nagle wyprostowała się i opadła mu na ramię, tak, że Giorgio przerażony podprowadził ją do fotelu.

— Och, to nic — szepnęła z zwieszoną głową. — Bądź spokojny... Podaj mi tę buteleczkę!

Gdy ją odkorkował, poznał po zapachu, że był to środek bardzo silny. Nata zrozumiała jego wahanie się i uśmiechnęła się do niego smutnie.

— Tylko się nie obawiaj — rzekła, odbierając mu lekarstwo z pewną niecierpliwością z ręki — już mi więcej zaszkodzić nie może, a teraz mi go potrzeba.

Nalała kilka kropli na łyżeczkę i zażyła; natychmiast niemal wystąpił na jej policzki niezwykły rumieniec, a ona zaczęła się tak śmiać, że mu się serce krajało.

— Ah, jak to dobrze robi. Mam uczucie, jakbym się napiła ognia...

Giorgio patrzył na nią suchemi oczyma, nie mogąc znaleść ani słowa, ani łzy; czuł, że uczucie wzruszenia i troski cisnące się do jego piersi, duszą go niemal.

Z smutną kokieterją chorej, ubrała się starannie. Włosy miała splecione w dwa warkocze, a suchotami zniszczoną pierś ubrała kosztownemi koronkami. Jemu jednak stała wciąż jeszcze przed oczyma taka, jaką ją widział wtedy w głębi loży w teatrze Pergola i na ścieżkach ogródka w willi Principe Amadeo, wdzięczną i sarkastyczną.

— O czem myślisz? Nie chcę, abyś myślał o twojej żonie! — zawołała gniewnie.

Giorgio wzruszył ramionami.

— Kochasz żonę? Nie, nie, nie odpowiadaj mi — dodała żywo, kładąc mu rękę na ustach. — Widziałam ją w teatrze... jest tak piękna!...

Powieki spadły jej na oczy i powoli dwie łzy potoczyły się po jej policzkach. Ponura cisza przerwała ich rozmowę.

— Dlaczego mi się tak przyglądasz? — zapytała nagle Nata, topiąc spojrzenie swych szeroko rozwartych oczu w jego wzroku — Czy stałam się brzydką? Mam przecież jeszcze piękne włosy... spojrz tylko! Rozpleć je... tylko się nie obawiaj, nie umieram jeszcze!

Przy tych słowach zarzuciła mu ręce na szyję i z rozkoszą rozpaczy skłoniła głowę na jego piersi.

Nagle jednak położyła mu ręce na ramionach i odepchnęła go z taką siłą, jakiej Giorgio nie spodziewał się w niej wcale.

— Powiedz mi, że nie kochasz żony — mówiła, patrząc na niego pałającym wzrokiem — powiedz mi, że jej nie kochasz.

Giorgio spuścił oczy.

— Powiedz mi, że jej nie kochałeś nigdy, że mnie tylko jedną kochasz! Powiedz mi to!

Nie wiedząc, że kłamie i nie wstydząc się tego kłamstwa, uczynił zadość jej życzeniu.

Znowu powstała cisza, podczas której Nata patrzyła na niego ciągle jeszcze swym szczególnym wzrokiem.

— Masz syna? — zaczęła znowu tonem, który słowami opisać się nie da.

Giorgio milczał zawstydzony, Nata przyciągnęła nagle jego głowę do swego łona i zaczęła płakać.

— O, nie płacz! — zawołał Giorgio z ściśniętem sercem.

— Nie, nie chcę więcej płakać.. nie chcę więcej płakać... łzy wysychają prędko w nerwowem i gniewnem oku... I ja mam prawo być szczęśliwa... co mnie obchodzi tamta?... Powiedz jej, że cię wcześniej kochałam niż ona... powiedz jej... Nie miałam siły umrzeć, nie widząc cię raz jeszcze... Gdy pisałam do ciebie, nie przeczuwałam, że będę musiała umierać tak prędko... nie wiedziałam, co to znaczy czuć, że życie ucieka... Ach, gdybyś wiedział, jak to smutem jest umierać... samej umierać w hotelu! Mój mąż przybył teraz, w ostatniej chwili... lekarz pisał do niego... jest więc pewny, że dłużej niż przez miesiąc nie zaniedba służby... Obowiązkowi i przyzwoitości stanie się więc zadość... Co mam począć z tym człowiekiem? Czem on jest dla mnie? Czy uważałeś to zo rzecz wstrętną, gdy ci przedtem mówiłam, że stanie się nieszczęście, gdy przyjdzie i stanie między nami? Co mnie świat obchodzi, teraz, gdy go opuszczam?... Czego się mam jeszcze obawiać?... Co mnie czeka?... Nie mam nic prócz ciebie, i ciebie chcę mieć! Rozumiesz mnie? Bez względu na twoją żonę, bez względu na twego syna, na wszystko!

Mówiła głosem suchym, ostrym, tonem stanowczym, ale nieskończenie smutnym i nieszczęśliwym.

Włosy jego były rozczochrane i mokre z potu, ściskał ją jak szalony, tak jakby nagle stracił smysły. Szał jego miłości był potworny, tak jakby tę miłość dzielił z trupem. Obraz żony, chorego syna, spokojnego gniazdka, szczęścia domowego mięszał się w tej okropnej i bolesnej walce z upiorem kobiety, którą tak kochał.

Zdrętwiała i prawie zemdlona wydawała z siebie ciche a dzikie okrzyki i broniła odkrycia swej piersi z wstydliwością chorej. Nagle padła mu w ramiona jęcząc, skomląc niemal, łkając i szukając rękami łóżka. Suknie jej były zmięte, włosy rozplecione — w takim stanie zaniósł ją na łóżko.

Łzy toczyły się po jej policzkach, oczy miała zamknięte, a usta, skrzywione wskutek kurczu muszkułów twarzy, ukazywały dwa rzędy zębów, równych jeszcze i pięknych jak perły.

Już zdawała się zasypiać, gdy nagle otworzyła oczy spojrzała na niego przerażona i jakby obłąkana i, odepchnęła go gwałtownie.

— Nie — zawołała — ta kobieta... ta kobieta jest zawsze między nami... nie, nie, nie!

Od tej chwili majaczyła prawie przez pół godziny, aż nareszcie zasnęła.

Giorgio słyszał jej świszczący oddech i czuł, jak drżała w jego objęciu. Kiedy niekiedy wstrząsało nią coś w rodzaju kurczu, budziła się i zwracała na niego swe duże oczy, nie widząc go wcale. Spała z głową odchyloną w tył, nos wydawał się ostry i śpiczasty, oczy spoczywały głęboko w jamach, a dwie duże niebieskawe plamy szpeciły jej policzki. Włosy leżały w dzikim nieporządku na poduszce, białe suknie ukazywały wyraźnie kształty jej postaci, wyciągniętej na łóżku, a w napół otwartem wycięciu sukni widać było wyschniętą pierś... I od tej postaci, która leżała przed nim pogrążona w śnie, nie mógł Giorgio oderwać oczu.

Ta okropna noc miłosna trwała całą wieczność.

*

Nareszcie ukazał się pierwszy brzask dnia na obrazach, zdobiących ściany i na białym baldachimie nad łóżkiem. Meble zaczęły się wyraźniej zarysowywać w niepewnem świetle... chora obudziła się...

— Spałam i czuję się dobrze — szepnęła — naprawdę dobrze...

Szukała ręki Giorgia i odwróciła się do niego, a odblysk zorzy porannej czynił twarz jej jeszcze bledszą.

— Czy to już dzień? Jakże długo spałam!... Pomóż mi wstać, chcę zobaczyć wschodzące słońce.

Podniósł ją, ona położyła mu rękę na ramieniu. Podprowadził ją ku oknu.

W hotelu wszystko jeszcze spało głębokim snem, kilku robotników kolejowych chodziło z latarniami wśród szyn, a dumny kogut witał swem pianiem wschodzący dzień. Niebo miało barwę ciemnolazurową, na wschodzie lekko zaróżowioną, a mleczne obłoczki przeciągały po niem. Na szarem, czarnem jeszcze morzu, można było widzieć rozsypane w długim szeregu żagle wypływających łodzi rybackich.

— Co za spokój! — szepnęła Nata. — Ilu jest ludzi szczęśliwych w tej chwili?

Giorgiem wstrząsnął dreszcz.

— Addio! — rzekła zdecydowana, ale z wysiłkiem.

W głosie jej spoczywało głębokie wzruszenie, a w oczach jej błyszczały łzy.

— Czy przyjdziesz dziś wieczorem?

— Przyjdę.

— Przyrzekasz mi to? — zapytała, chwytając go za ręce. — Będę cię miała jeszcze tylko przez tak krótki czas!.. Przyjdź! Mam przecież tylko ciebie i to jedynie na tak krótki czas!

Giorgio przycisnął ją gwałtownie do serca, a ona pozwoliła się całować, nieruchoma z zamkniętemi ustami i szklannym wzrokiem.

Chwiejąc się, wyszedł Giorgio z pokoju.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z DZIEJÓW WACHLARZA.

U ludów starożytnych był wachlarz symbolem siły, potęgi i bogactwa; używany był przeto tylko przez ludzi potężnych i zamożnych; w świątyniach służył do podsycania ognia ofiarnego. Na wazach greckich widzimy często kobiety, składające ofiary, z wachlarzami w rękach. Syryjczykowie używali go również do celów rytualnych.

W chrześcjańskiej liturgji starożytnej odgrywał wachlarz *(flabellum)* ważną rolę. Podczas mszy św., a mianowicie podczas ustępów jej najuroczystszych, aż do komunji św., stało po obu stronach ołtarza po dwóch djakonów, którzy powiewali ustawicznie wachlarzami z piór pawich, ażeby muchy od świętego chleba i kielicha odstraszyć, a upał, panujący w świątyniach południowych, mniej uczynić dokuczliwym dla celebrującego kapłana.

Odtworzenie takiego *flabellum* spotykamy na pomnikach starożytnych; widzimy je na starej czarze ofiarnej z pozłacanego szkła, znalezionej w katakumbach z II-go wieku. Wachlarze te, do celów rytualnych przeznaczone, robione były z piór pawich, z bardzo cienkiego pergaminu albo z liści palmowych. *Flabellum* greckie, miało formę cherubina o sześciu skrzydłach i umocowane było na długim drzewcu. Wachlarze maronickie i ormiańskie były kuliste, pokryte blaszkami z których zwieszały się drobne dzwonki. Do dzisiaj jeszcze podczas wielkich uroczystości kościelnych niosą przed Ojcem św. dwa wielkie wachlarze z piór strusich, jako symbol czystości.

Rozróżniamy trzy główne typy wachlarza: 1) sztandarowy, składający się z rozpiętego, czworokątnego kawałka materji złotej albo jedwabnej, umocowanego na górnej części dosyć długiego drzewca, co mu użycza podobieństwa do sztandaru. Tę formę spotykamy do dziś jeszcze w Hiszpanji, Algierze, Maroku, Egipcie i Turcji; 2) piórowy, a mianowicie z piór pawich lub strusich, drzewiec jego hebanowy miewał srebrne inkrustacje i zaopatrywany był w lusterko. Noszono go na łańcuchu, z którego zwieszały się figurki rzeźbione, jako rodzaj talizmanu; 3) fałdzisty, złożony z szeregu ciętych słupków, klinowato się zbiegających i u jednego końca drucikiem (albo tasiemką) spajanych. Pochodzi on z Chin i Japonji.

Jako przedmiot zbytku, powszechnie używany w tualecie kobiecej, pojawia się wachlarz dopiero w XV-ym wieku, we Włoszech. W Anglji spotykamy go już wprawdzie na schyłku XIV-go w., za panowania Ryszarda II-go, upowszechnia się wszakże i wchodzi w modę dopiero za Henryka VIII-go i Elżbiety. Fairholt opowiada, że wachlarze angielskie w owej dobie były robione z piór strusich i miały srebrne, drogiemi kamieniami wysadzane rękojeści.

W Hiszpanji zaczęto nosić wachlarze w połowie XV-go wieku; typ chińsko-japoński zjawia się wszakże dopiero pod koniec XVI-go w. na dworach: hiszpańskim i portugalskim. Wkrótce wyparł on obie dawniejsze formy i spotykany był już nieomal wyłącznie.

We Francji znano wachlarz już w w. XII-ym, ale tylko najzamożniejsze damy mogły sobie pozwolić na zbytek posiadania go. Karol V-ty posiadał trzy wachlarze sztandarowe ze złoconej miedzi, o pozłacanych srebrnych drzewcach, których używał do opędzania się od much przy obiedzie. Wachlarz fałdzisty, rozsuwający się, jak dzisiejsze, upowszechnił się we Francji dopiero za czasów Katarzyny medycejskiej.

Słynny filozof-encyklopedysta, d'Alembert, opowiada następującą anegdotę wachlarzową:

Gdy Krystyna szwedzka przybyła na dwór Ludwika XIV-go, noszono powszechnie wachlarze. Kilka dam dworu, nie znając nienawiści córy Gustawa Adolfa do wszystkiego, co kobiece, pytały ją, czy mają nosić wachlarze, wiatr siejące zimą i latem.

— Nie sądzę — rzekła — jesteście już i tak dosyć wietrzne.

Aby zemścić się na królowej, postanowiły damy nosić wachlarze o każdej porze roku. Fabrykanci wachlarzów skorzystali z tego. Zaczęto wyrabiać prawdziwe cacka. Rękojeści ze zwykłego drzewa zastąpiono złotemi srebrnemi, emaljowanemi, wspaniale rzeźbionemi, ba, nawet pachnącemi. Zamiast zwyczajnego papieru lub jedwabiu zaczęto używać najsubtelniejszych welinów, tiulów, koronek, malowanych gwaszem przez najpierwszych mistrzów.

Za Ludwika XIV-go powstał też cech osobny *maîtres éventaillistes*, fabrykantów wachlarzy. Ale odwołanie edyktu nantejskiego, skutkiem czego protestanci musieli opuścić Francję, miało ten skutek, że fabrykanci wachlarzów wyznania luterańskiego i kalwińskiego zbiegli do Londynu i mistrzowstwo swoje oddali na usługi anglików. Za Ludwika XV-go moda wachlarzy rozpowszechniała się w coraz szerszych warstwach. Wówczas to malarz powozów, Martin, usiłował naśladować chińskie i japońskie roboty lakowe i wynalazł ów piękny pokost, jego nazwiskiem ochrzczony, który służył do utrwalania wdzięcznych gwaszów i powiewnych akwarel na kości słoniowej.

W początkach wielkiej rewolucji wachlarz stał się tłumaczem idei republikańskiej: odtwarzano na nim widoki stanów jeneralnych, konwentu, zgromadzenia narodowego i t. d. Po scenach mitologicznych, po różanych amoretach i kwietnych girlandach przyszła pora na politykę dnia bieżącego. Zburzenie Bastylji i jego tragiczne następstwa, oddziałały ujemnie i na wyrób wachlarzów. Z upadkiem dopiero doby terroryzmu odradza się napowrót królowanie wachlarza. Robiono go wówczas przeważnie z drzewa cedrowego.

Epopea napoleońska upamiętniła się także na wachlarzu współczesnym. W epoce Restauracji zaczęto zdobić go anagramami. Czytano n. p. na wachlarzu wyraz: „Roma", który przy pomocy łatwego mechanizmu zmieniał się w oka mgnieniu na „Amor".

Odtąd z każdym rokiem przemysł wachlarzowy urozmaica i wydelikatnia swe formy. W okresie monarchji lipcowej, wyrabiano wachlarze z masy perłowej, kości słoniowej, kosztownych kamieni, piór kolibrzych, puchu strusiego, blaszek metalowych lub krystalicznych. Zaprzężono sztukę do przemysłu, aby wypieszczać owe cudowne klejnoty, które są dzisiaj berłem bogiń salonowych.

Juljan T.....



OSTATNI TRUBADUR.

Na świecie gwar, na świecie maj,
Dokoła kwitną róże.
Trubadur gra, ach, graj nam, graj,
Ostatni trubadurze!

I w naszą pierś, przedwcześnie już
Od szronów wieku skrzepłą,
Wraz z wiosny tchem i wonią róż
Serdeczne przelej ciepło.

Niech serce w nas miłością drgnie
Do taktu w całym świecie,
Niech marzeń rój w tęczowym śnie
Wybladłą skroń oplecie.

Niech wstaną znów z przeszłości lat
Romea świetne chwile,
Niech Julji pierś, jak lilji kwiat,
Do słońca spłonie mile!

Więc graj nam, graj, bez końca graj
Ostatni trubadurze,
Niech słucha cię nietylko gaj,
Nietylko senne róże!..

Wiktor Dzierżanowski.

KRYTYKA LITERACKA.

„Nasza literatura dramatyczna", szkice nakreślone przez Piotra Chmielowskiego. Tom I, str. 521; tom II. str. 536. Petersburg, nakładem K. Grendyszyńskiego, 1898.

Ogłaszając drukiem przed trzema laty szereg swych szkiców krytycznych o „Współczesnych poetach polskich", zapowiedział prof. Chmielowski osobną książkę o naszych dramaturgach. Książka ta, w dwóch tomach, ukazała się w roku bieżącym. Nie jest to, jak sam autor zaznacza w przedmowie, historja naszej literatury dramatycznej, lecz zbiór zarysów, „pisanych w różnych czasach i z powodu rozmaitych okoliczności". Stąd sposób opracowania poszczególnych rozdziałów nie jest jednolity tak pod względem systemu i metody, jak pod względem obszerności wykładu. Raz np. streszcza autor zoztrząsane przez się dramaty tak szczegółowo, że streszczenia te mogą po części zastąpić dla ogółu czytelników ich przeczytanie, drugi raz charakteryzuje je tylko ogólnikowo, jako dzieła sztuki, nie dając bardziej szczegółowego pojęcia o ich wątku i rozwoju akcyi. Raz podaje biografię autora, zastanawiając się nad wpływem, jaki wywarło jego życie na twórczość, drugi raz pomija szczegóły biograficzne zupełnie. Co do metody studjów, dosyć np. porównać rozdział dziewiąty (o Fredrze) z jedenastym (o Słowackim), aby się przekonać, że ona jest inna tam, inna tu: w rozdziale dziewiątym mamy nasamprzód część biografii wielkiego komedjopisarza (aż do r. 1835), następnie klasyfikację i ocenę komedyj pośmiertnych, pobieżną charakterystykę talentu komedjopisarskiego Fredry, wreszcie — część najobszerniejsza — szczegółową charakterystykę postaci niewieścich w jego komedyach; w rozdziale zaś o twórczości dramatycznej Słowackiego wykazuje naprzód autor, dlaczego Słowacki, choć ze wszystkich naszych poetów posiadał najwięcej talentu dramatycznego, nie stworzył ani jednego doskonałego arcydzieła, któreby powszechnie za takie uznane zostało; następnie mówi o charakterach, osnowie, kolizjach i sytuacjach, djalogach i monologach w dramatach Słowackiego; poczem następują dwa osobne, nie wiążące się ściśle pod względem sposobu opracowania z poprzedniemi, szkice o mistycznych dramatach („Ksiądz Marek", „Sen srebrny Salomei"), oraz o pismach pośmiertnych Słowackiego, ogłoszonych przez Biegeleisena i Rychtera. wreszcie dwie obszerniejsze rozprawki o „Marji Stuart i „Mazepie".

Podobna niejednolitość w budowie poszczególnych części książki uderzy każdego, kto porówna z sobą jeszcze studja o dramatach Świętochowskiego i o komedjach Blizińskiego, rozbiory działalności dramatycznej Zalewskiego i Bałuckiego i t. d.

Naturalnie, że zarzutu z tego czynić prof. Chmielowskiemu nie wolno, gdyż jednolite opracowanie nie było jego zamiarem; gdyby chciał był to uczynić, musiałby swe oceny i rozbiory, szkice i studja przerobić, dopasować do jednego typu, tego zaś zrobić nie chciał z uwagi, że jak powiada w przedmowie, jednokształtność szkiców mogłaby się stać nużącą. Niepodobna się na to nie zgodzić, to wszakże zauważyć można i trzeba, że i bez przerabiania prac, dawniej w różnych czasopismach ogłoszonych, można było z łatwością, łącząc je w jedną całość, opuścić w nich to, co do rzeczy całkiem nie należy.

Co za związek z literaturą dramatyczną ma np. działalność pedagogiczna Felińskiego lub jego rozprawa o ortografii? Wiadomości te były i są zupełnie na miejscu w „Encyklopedji wychowawczej", w której rzecz swą o Felińskim po raz pierwszy p. Chmielowski umieścił; lecz w studjum o dramacie polskim należało pominąć je w zupełności. To samo da się powiedzieć o paragrafie szóstym rozdziału jedenastego; jest to przedruk z artykułu, umieszczonego w swoim czasie w „Ateneum", w którym autor rozstrząsał pośmiertne poezye Słowackiego, wydane przez Rychtera, a więc nietylko utwory dramatyczne, jak „Agezylausz", lecz i inne, jak „Eolion" i „Teogonia;" otóż rozbiór tych ostatnich w „Naszej literaturze dramatycznej" jest zbyteczny. Nawet studjum o „Mazepie" Słowackiego, chociaż nadzwyczaj ciekawe, bo wykazujące, że genezą słynnej sceny zamurowania jest powieść Balzaca „La grande Bretèche", nie jest na miejscu w książce togo rodzaju, co „Nasza literatura dramatyczna", jako zbyt specjalne, bo dotyczące jedynie genezy pomysłu — i to nie całej tragedyi, lecz tylko jednej sceny.

Te drobne jednak usterki w kompozycyi dzieła czyli, mówiąc ściślej, w ustosunkowaniu jego poszczególnych części, nie zmniejszają ani o piędź jego istotnej i wielkiej wartości. Przedewszystkiem podnieść należy te ważne okoliczności, że „Nasza literatura dramatyczna", aczkolwiek całokształtu dziejów naszego dramatu nie wyczerpuje, aczkolwiek jest nie jego historją, lecz „szeregiem przyczynków", jednak przez bogactwo treści, przez uwydatnienie wszystkich prawie ważniejszych momentów w rozwoju polskiej poezji dramatycznej, przez charakterystykę, już to wyczerpującą, już to ogólną, wszystkich wybitniejszych na tem polu pisarzy, jest pierwszem w nauce dziełem, zawierającem w sobie studja nad dramatem naszym od najdawniejszych aż do ostatnich czasów.

Zresztą, co się tyczy dramatu staropolskiego aż do XVIII-go wieku, widoczną jest rzeczą, że autor specjalnych, źródłowych poszukiwań nie robił; stąd, z wyjątkiem szkiców o Reyu, Kochanowskim i Szymonowiczu, zawierających w sobie trafną charakterystykę twórczości dramatycznej tych trzech pisarzów, inne szkice nie przynoszą nic nowego, będąc streszczeniem, usystematyzowaniem lub uogólnieniem materjału, znanego już skądinąd. Nadto materjał ten nie został należycie wyczerpany. Nie mówiąc już o mniej ważnych szczegółach, niepodobna nie wyrazić zdziwienia, że w rozdziale „Stan dramaturgii polskiej w drugiej połowie XVI stulecia" o utworze Marcina Bielskiego p. t. „Komedya Justyna i Konstancyej", która jest pierwszą „sztuką moralną" *(moralité)*, napisaną w języku polskim (o ile „Żywot Józefa" Reya będziemy zaliczali nie do sztuk moralnych, lecz do misterjów), mamy jedynie wzmiankę pod postacią dokładnego przytoczenia tytułu. Wpraw-

dzie, w chwili, gdy prof. Chmielowski ogłaszał ów rozdział swej książki w „Echu muzycznem i teatralnem“, sztuka Bielskiego nie była jeszcze znaną; lecz w roku 1896 wydał ją w całości prof. Wierzbowski. Wytknąć także wypada pominięcie „Kupca“ rejowskiego, który choć niedawno dopiero ogłoszony drukiem (w urywkach), znany jest od kilku lat ze streszczenia prof. Brücknera w „Bibliotece Warszawskiej“, oraz przemilczenie o utworze z kilku względów charakterystycznym, a mianowicie o „komedji mięsopustnej“ p. t. „Dziewosłab dworski... napisany przez Maćka Pochlabcę“.

Studjom za to nad dramatem polskim od XVIII-go wieku aż do czasów najnowszych, nic prawie nie da się zarzucić. Nie pominął w nich profesor Chmielowski ani jednego ważniejszego faktu w historji naszej dramaturgji od Zabłockiego, Niemcewicza i Felińskiego przez Fredrę, Korzeniowskiego i Słowackiego, Szujskiego i Narzymskiego, aż do Bełcikowskiego, Asnyka, Bilzińskiego, Bałuckiego, Świętochowskiego i innych współczesnych autorów, komedji i tragedji. Jedynie chyba tylko tragedje Franciszka Wężyka: „Bezkrólewie pierwsze“ i zwłaszcza „Bezkrólewie drugie“ zasługiwały na bardziej szczegółowe uwzględnienie.

Z drobnych niedokładności tę jedną tylko zaznaczyć należy, że, właściwie mówiąc, nie pierwszy Korzeniowski, lecz Niemcewicz, usunął z dramatu jedność miejsca (jeżeli nie będziemy poczytywali za tragedję rozwlekłej sztuki Kniaźnina „Hektor“). Po za tem, można naturalnie nie zgadzać się z prof. Chmielowskim w niektórych zapatrywaniach i sądach estetycznych, bo te są przecież zależne od indywidualności. Zresztą, jak wiadomo, profesor Chmielowski nie wdaje się zazwyczaj w *obszerną* krytykę estetyczną utworów literackich, a mianowicie nie wykazuje *za pomocą szczegółowych streszczeń* piękności tej lub owej sytuacyi, tego lub owego ustępu, tej lub owej kompozycji. Natomiast we wszystkich innych kwestjach krytyki literackiej trudno nie zgodzić się z wynikami badań autora. Stosuje się to zarówno do jego prac poprzednich, jak i do tej ostatniej. Sumienność poszukiwań, umiejętność budowania całości z zebranego materjału, dar analityczny w wysokim stopniu, zdolność do uogólnień i klasyfikacji, a ztąd i do charakterystyki, wytrawność w krytyce psychologicznej, sąd ogółem trafny i trzeźwy, a często głęboki, ostrożność w stawianiu hypotez, bezstronność, jasność wykładu i ścisłość wyrażeń, wreszcie wielka erudycja historyczno-literacka i zdumiewająca pamięć: oto są główne zalety, jak wszystkich wogóle pism prof. Chmielowskiego, tak i „Naszej literatury dramatycznej“. Na szczególne w niej uwzględnienie zasługują rozdziały o Zabłockim, Asnyku, Faleńskim, o początkach naszej komedji społecznej (o Narzymskim), o Sarneckim, Bliźińskim i Bałuckim; są to już nie szkice, lecz monografje literackie w całem znaczeniu tego wyrazu.

Ignacy Chrzanowski.



ADAM KRAJEWSKI

AMOR VIXIT.

Nowela.

Ciąg dalszy.

— Więc mi nie powiesz? — nalegała Nina czemraz bardziej natarczywie — cobyś zrobił gdybym cię kochać przestała? — Nie odpowiadasz i masz słuszność — wyrzekła już poważniej. — Jestto sprawa zbyt wielkiej wagi, ażeby na nią odpowiadać bez namysłu, bez głębokiego zastanowienia się nadtem, co się powie. Nieprawdaż?... dziecko ze mnie? — zapytała wesoło, obejmując męża za szyję.

— Nie Nino... dzieckiem już nie jesteś — odpowiedział jej na to Albin wzruszony — jednak skąd ci przyszło, moja droga, takie pytanie?

— Nie mówmy już o tem, — zaszczebiotała młoda kobieta — żartowałam sobie tylko. Nie bój się, twoja Nina nie przestanie cię kochać, chybabyś ty...

Spuściła oczy zasmucona nagle i zarumieniona.

— Ja? — zawołał Albin spostrzegłszy smutek żony — ja miałbym cię przestać kochać? przenigdy Nino!.. Przysię...

— Nie przysięgaj! — przerwała mu Nina nagle, jakby się obawiała, ażeby nie dokończył tego słowa, wyrzeczonego w zapale. Uczuła, że popełniłby krzywoprzysięztwo, choć tamtej nie kochał, czego była pewną.

— Nie przysięgaj, bo to także rzecz ważna, ważniejsza może stokroć, niż to moje pierwsze pytanie. Nie pytam cię już o nic więcej, nie nalegam — wyrzekła patrząc mu w oczy z czułością — wierzę ci wszystko, wierzę bez przysięgi, bo wszakże przysięgliśmy sobie już przed ołtarzem, przed Bogiem...

I objąwszy go silniej ramieniem, zamknęła mu usta pocałunkiem a wysunąwszy się lekko z jego objęć, wybiegła z pokoju.

Gdy zniknęła za portjerą, Albin stał jak posąg na tem samem miejscu, na którem go zostawiła. Patrzył osłupiały w zamknięte drzwi jakby chciał je przebić wzrokiem i odgadnąć za niemi tajemnicę słów, wyrzeczonych przez Ninę przed chwilą. — Całe jej dzisiejsze postępowanie utwierdziło go w przekonaniu, że żona wie o wszystkiem, że się domyśla wszystkiego. Nie drżał jednak z obawy jakichkolwiek scen; przeciwnie, był upokorzony jej spokojem, jej miłością dla niego, jej wiarą w miłość jego, której on, zdradzający ją, był tak niegodny.

Czy istotnie? — Tak — był może niegodny, niedawno jeszcze, przed kilku dniami, gdy myśl o Malwinie wypełniał

głowę jego, gdy szalał namiętnością dla Malwiny. Dzisiaj czuł się winowajcą tylko przez połowę, mniej nawet, bo sam wstąpił na drogę powrotną z występku. Miał przecież w duszy silne postanowienie stania się dla żony takim, jakim był w pierwszych miesiącach pożycia z nią, cały jej oddany i myślą tylko o niej żyjący. Krok, który chciał uczynić, zanim Nina weszła do jego pokoju, miał być stanowczym i ostatnim w jego stosunku z Malwiną Chciał się nań odważyć, zanim Nina o czemkolwiek się dowie, chciał, aby, gdyby nawet przyszło do jakich z tego tytułu wyrzutów między nimi, stanąć wówczas przed nią, jak grzesznik skruszony, który bez żadnych na się wpływów, sam wstąpił na drogę opamiętania i poprawy.

Dlaczego mu Nina na tej drodze przeszkodziła? Uczuł dla niej w duszy małą urazę, za to, że zdradziła się przed nim świadomością jego błędu. Tak, to było pewne. Czyż gdyby było inaczej, czy byłaby go wstrzymała od słowa przysięgi? A jednak powinien był być jej wdzięcznym za to, że mu fałszywie przysiądz nie dozwoliła. Mniejsza o to... Winien był się teraz nad tem zastanowić, czy miał zakończyć wszystko tak, jak sobie pierwotnie postanowił, czy dać już spokój wszystkiemu i zostawić rzeczy tak, jak się same ułożyły.

Nie miał się czego już długo namyślać, należało działać po męzku. Co do Niny, jeżeli instynktem kochającej kobiety odgadła, że ją jedną tylko kocha, jeżeli mu powiedziała przed chwilą, że wierzy mu bez przysięgi, to nie powinien się wahać więcej, lecz postąpić tak, jak mu rozum i wola męzka nakazywały. Jeżeli Nina wierzyła dotąd w jego miłość i uczciwość, to nie straci dlań tej wiary, jeżeli do końca dzieło poprawy doprowadzi.

Powziąwszy to postanowienie, umyślił niezwlekając, dziś jeszcze wieczorem odpisać Malwinie na jej list obrażający. Czekał tylko sposobnej chwili, gdy się wszystko w domu uciszy, potrzebował bowiem wielkiego skupienia myśli do tego wszystkiego. Był teraz daleko spokojniejszym; spotkanie z Niną nie budziło w nim więcej tych obaw co dawniej, mógł jej śmielej w oczy już popatrzyć, bo wiedział, że nic nie jest jej tajnem, a czuł dla niej nadzwyczajne uwielbienie, za jej rozum, takt i wyrozumiałość, z jakimi, jego, zbłąkaną owieczkę traktowała.

Poszedł do jej pokoju, ale jakże wielkie było jego zdziwienie, gdy jej tam nie znalazł. Zapytana o to służąca, odpowiedziała mu, że pani wyszła przed chwilą i kazała powiedzieć, gdyby się o nią pytał, że wróci dopiero za godzinę. Zdziwiło go to, bo mu przed chwilą nic nie powiedziała, że wychodzi. Coby to mogło znaczyć? Myślał, myślał i domyślił się, uśmiechając się sam do siebie, że sprytna kobieta, dała mu niejako sama czas do odpisania na list Malwiny; domyślała się może a nawet pewnie, co zacz było to pismo, które widziała, przy którem go zastała zamyślonym, a które, on tak nieznacznie z przed oczu jej usunął.

Byłoto bardzo widoczne; nie potrzebował się teraz wiele namyślać, nie zaskoczy go niespodzianie żadna przeszkoda, a raz nareszcie zakończy się wszystko.

Usiadł, rozłożył przed sobą kartkę papieru i zaczął:

„Pani! — Właściwie na list, który łaskawie do mnie pisałaś, trudno byłoby mi odpowiedzieć, jest w nim bowiem nagromadzonych tyle wyrzutów, tyle rzeczy, dla mnie nawet niezrozumiałych, że gdyby istotnie tak było, jak pani piszesz, nieśmiałbym nigdy w życiu stanąć przed nią i w oczy jej popatrzyć. Jestem atoli przekonany we własnem sumieniu, że choćby nawet niejedno, co się stało, dziś wydawało się pani innem niż wprzódy, nie usprawiedliwia to jeszcze do czynienia mi takich zarzutów, z jakimi się spotkałem ze strony pani.

W liście, który otrzymałem piszesz pani, że niechcesz się więcej widzieć ze mną. Być może, że zastosowałbym się do jej życzenia, gdyby nie to, że nie chcę uchodzić w oczach pani za lękliwego, że chcę pani wytłómaczyć, iż bynajmniej nie jestem i nie byłem nigdy takim, ażebym zasługiwał aż na karę banicji z przed jej oczu. Myślę zresztą, że tak będzie najlepiej: Ośmielę się raz jeszcze stanąć przed panią jutro, i mam nadzieję, że mi tej ostatniej może prośby nie odmówisz. Gdybym do jutra rano niemiał listu od pani, uważać będę prośbę moją za uwzględnioną".

Przeczytawszy świeżo przez siebie napisany liścik, sam się zdziwił, skąd mu się wzięło na ten chłód, na tę konwencjonalność, z jaką go napisał. Gdyby tak Nina była zeszła go niespodzianie, doprawdy, nieśmiałaby się gniewać o list taki; tak kochankowie do siebie nie pisują. Ale nic dziwnego, namiętność Albina dla Malwiny wystygła już, jak krater wulkanu po gwałtownym wybuchu.

Wyszedł na chwilę z domu, list odesłał Malwinie przez posłańca i wrócił do domu, zanim jeszcze Nina powróciła. Nie pytała go o nic, choć była pewną, że się doskonale zrozumieli, że Albin się domyślał, iż mu umyślnie zostawiła wolny czas do rozprawienia się z listem Malwiny.

I Albin czuł wielką wdzięczność dla żony za tę pomoc, której mu tak dyskretnie, z takim taktem udzieliła. Jakkolwiek dobroć i wyrozumiałość Niny upokarzały go bardzo, jednak uwielbiał ją za to, że wiedząc o wszystkiem, nic mu nie powie i nie niepokoi go tem wówczas, gdy całej spokojności umysłu potrzebował do tej nierównej walki, w którą się zaplątał.

To też i teraz, w przededniu ostatniej swej wizyty u Malwiny — bo był niemal pewnym, że go przyjmie — potrzebował jeszcze większego skupienia ducha, ażeby wyjść z tej sprawy z honorem a stanowczo. Czy uda się jeszcze Ninie wytrzymać w jej biernej na pozór roli aż do ostatniej chwili? — takie pytanie zadawał sobie, siedząc z Niną wieczorem. Jakoś im dziś bardzo było niewygodnie ze sobą. Na ustach obojgu drzemały słowa, któreby byli chętnie oboje wypowiedzieli, a żadne z nich by tego nie uczyniło, bo wiedzieli, bo czuli to, że jeszcze nie czas na to, że dopóki ostatnia nitka, łącząca Albina z Malwiną, nie urwie się, tak długo tajemnica, o której oboje dobrze wiedzieli, musi pozostać tajemnicą.

Było im trochę nieswojsko z łatwych do zrozumienia powodów: Nina, która tak długo walczyła między miłością dla Albina bezgraniczną, a zazdrością o niego, choć wiedziała, że niefortunny stosunek jego z Malwiną ma się ku końcowi, teraz przy końcu poczęła tracić siły i obawiała się aby ją nie zawiodły, aby zdradziwszy się, nie popsuła tego pięknego dzieła nawrócenia męża, które jej się aż dotąd tak wybornie i skutecznie udawało. Domyślając się, że ta kobieta będzie może próbowała usidlić raz jeszcze jej Albina, drżała na myśl o tem nietyle z obawy o niego, ile z zazdrości, od której, jako kobieta kochająca, zupełnie wolną nie była.

Niepokój Albina miał źródło wcale w czem innem. Myślał on: odpisze czy nie odpisze? — Jeżeli odpisze, jeżeli nie zgodzi się na to, ażeby przyszedł do niej, przewlecze się — był tego pewny — cała historja znowu w nieskończoność. Jeżeli nic nie odpowie, pójdzie do niej i skończy się jutro wszystko. Wróci cały niepodzielnie do swej Niny, popatrzy jej w oczy znowu tak śmiało, jak dawniej, a czas

i miłość wierna, dokonają reszty, i szczęścia ich, zaćmionego tym epizodem życiowym, nic więcej już nie zamąci.

Oboje, przepełnieni temi myślami, przebyli tak cały wieczór. Rozmowa zaczynana o różnych sprawach obojętnej natury, rwała się i nie szła coś sporo. Kiedy więc po herbacie żegnali się ze sobą, udając się każde do siebie, uścisk i spojrzenia obojga, dały im poznać, że się doskonale zrozumieli a były one dla obojga niejako niemą zachętą do wytrwania niedługo jeszcze — do jutra.

Nazajutrz Albin chodził niespokojny po swym gabinecie, oczekując posłańca z listem od Malwiny, lub też przejścia tej godziny, w której się od niej odpowiedzi nie mógł już spodziewać, a coby zaczyło przygotować się na spotkanie z niebezpieczną kobietą.

Do południa nie doczekał się niczego; wiedział już teraz czego się trzymać i rozmyślał tylko nad wyszukaniem sposobności pójścia do Malwiny po obiedzie. Musiał przecie czemś upozorować, choć był pewny, że mu Nina tym razem przeszkód z pewnością stawiać nie będzie...

W tym samym czasie i Malwina przygotowywała się na przyjęcie Albina. W duszy jej wrzała walka nielada. Przeczytawszy zimne pismo od tego, który niedawno szalał namiętnością dla niej, zdecydowała się odrazu na propozycję jego. Kto wie, gdyby się przed nią usprawiedliwiał, gdyby zamiast zimnego, konwencjonalnego tonu, był się do niej odezwał z przeproszeniem, błaganiami, zaklęciami, — byłaby pobawiła się z nim jeszcze, byłaby go próbowała drażnić i trzymać dalej w niepokoju. Ale czując się nanowo bardziej jeszcze obrażoną, wolała go zobaczyć przed sobą prędzej, aby go słowami i spojrzeniem zmiażdżyć, upokorzyć i albo zmusić do dalszego wleczenia się za rydwanem jej kaprysu, albo dać mu uczuć całą pogardę i upokorzywszy odrzucić precz od siebie.

Pisząc do niego, pragnęła tego w skrytości, ażeby przyszedł, ale sądziła, że się na tem nie pozna, iż ona tego pragnie; tymczasem odgadł jej myśli ukryte i zdecydował się na to, o co go, prawdę rzekłszy, nie posądzała.

Już ułożyła sobie w głowie cały plan spiorunowania go od pierwszej zaraz chwili, gdy przed nią stanie, kiedy jej służący zaanonsował jego przybycie.

Zawahała się na chwilę, czyby nie odmówić przyjęcia, ale pomyślała, że wyglądałoby to na słabość z jej strony. Skinęła więc ręką przyzwalająco i przybrawszy minę obojętną, usiadła na kanapce pod oknem.

Albin wszedł śmiało do salonu, skłonił się w milczeniu i czekał. Dumna kobieta, zwrócona twarzą do okna, zdawała się niezauważyć jego wejścia, baczny obserwator mógł jednak poznać, że na jedno mgnienie oka spojrzała na Albina z ukosa, nie odwracając głowy. Spojrzenie to wystarczyło dla niej, aby jej dać poznać, że nie stoi przed nią skruszony i zalękniony kochanek, lecz mężczyzna, który raczej w roli oskarzyciela niż oskarzonego przed nią się stawił.

Byłaby go może dłużej zatrzymała w tej pozycji zdaleka od siebie, ale on poruszył się niecierpliwie na miejscu, chrząknął lekko i postąpił krok naprzód. Zrozumiała ten ruch i nie wstając z miejsca, skinęła mu ręką na powitanie, dumnie, jak królowa z tronu swemu hołdownikowi.

Albin ani się tem zmięszał, ani skonsternował. Zbliżył się jeszcze bardziej i nie wyciągając ręki po dłoń, z podaniem której nie śpieszyła się Malwina, raz jeszcze oddał jej ukłon, i zajął miejsce na fotelu, w przyzwoitej od niej odległości.

Milczeli oboje przez chwilę, badając się wzajemnie oczyma, jak dwaj szermierze, mający za chwilę stanąć przeciw sobie na bój śmiertelny. Wpiła swe ogniste oczy w twarz Albina, jak wąż wpija wzrok swój w zwierzę, aby mu odwagę odebrać, i zimno po niej przeszło, gdy spostrzegła, że Albin ani się mięsza, ani nawzajem oczu z niej nie spuszcza.

Gniewała Malwinę taka pewność siebie ze strony niedawnego kochanka. Gdyby była mogła, byłaby go przykuła tymi oczyma do miejsca, ale daremnie! — czar jej spojrzenia nie działał więcej na Albina, który uzbroił się w całą siłę woli przeciw powabowi czarującej kobiety.

Dokończenie nastąpi.

Wiadomości artystyczne i literackie.

Stanisław hr. Rzewuski zamieścił w paryskiej „La Liberté" studjum o pracach Władysława Reymonta.

Nowe książki. Ks. Jan Chyliczkowski: „Syberja" Włocławek 1898. — Jan Witort: „Zarysy prawa zwyczajowego ludu litewskiego" Lwów 1898. — Ludwik Leger. „Austro-Węgry w XIX. w." Warszawa 1898. — „Krótka gramatyka polska i ćwiczenia językowe" napisała Marja Dzierżanowska, Warszawa 1899. — „Poezje" Jana Niesłuchowskiego, z portretem autora. (Wydanie pośmiertne Warszawa 1898. — Stecki Jan: „Zasady ogólne ekonomji społecznej" Warszawa 1898. — Gliński Kazimierz: „Wróci" powieść, Warszawa 1898. — Orkan Wł.: „Nowele" Warszawa 1898. — Perolli Marja: „Księżna Ziska", z tajemnic bytu pozagrobowego, przekład P. Niewiadomskiej Warszawa 1898. — „Spirydjon, czyli znajomość życia we wszelkich stosunkach z ludźmi" Warszawa 1898.

Nowe operetki. W teatrach wiedeńskich mają być przedstawione dwie nowe operetki, a mianowicie w teatrze Carla „Tragedja ludzka" z muzyką Weinbergera, a w teatrze „an der Wien" — „Le Blondin de Namur" z muzyką Müllera.

Przekłady. W „Rus. Myśli" wydrukowano przekład noweli Orzeszkowej „Z pożaru", oraz list H. Sienkiewicza do gazety „Gegenwart" o Bismarku. List ten obiegł prawie całą prasę rosyjską. — „Jestem", znana powieść Adama Krechowieckiego, pojawi się w przekładzie niemieckim w fejletonie pierwszorzędnego monachijskiego dziennika „Münchner Allg. Ztg."

„**Baśń zimową**" Henryka Heinego p. t. „Niemcy" przełożył wierszem Kazimierz Filip Wize. Przekład wyszedł nakładem drukarni Anczyca w Krakowie.

W ostatnim numerze „Science française" znajdujemy artykuły: G. H. Niewęgłowskiego o „telektroskopie", L. Fovoniera o odkrytem przez panią Skłodowską-Currie „Polonium" i t. d. Sekretarzem redakcji jest Polak, p. T. Obalski.
